DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 15. CZERWCA 1927. № 12/13.



MATKA BOSKA OSTROBRAMSKA.

(Koronacja obrazu Matki Boskiej w Ostrej Bramie w Wilnie odbędzie się dnia 2. lipca b. r.).

ZAWITAJ OSTROBRAMSKA MOCARNA KNIAHINI,
UWIEŃCZONA NA NOWO... W BLASKACH AUREOLI!..
TYŚ WSPÓLNIE NAS ŁĄCZYŁA W GROZIE I NIEDOLI,
NAJJAŚNIEJSZA KORONY I LITWY WŁADCZYNI!
CICHA — SŁODKA — ŁAGODNA, A ZAWSZE MOCARNA,
ZAWSZE KORNIE I UFNIE PRZEZ WSZYSTKICH WIELBIONA...

M. P.

NA SPROWADZENIE ZWŁOK SŁOWACKIEGO.

Niech nam nie dzwony, ale serc fanfary
Biją radośnie o niebios przyczoły
Od Notre Dame świętej aż po Wawel stary!
Niech nam nie wichry, ale archanioły
Śpiewają triumf i chylą sztandary,
Kiedy wracają Twe ciche popioły
Z wędrówki długiej na spokojne leże,
Na sen szczęśliwy w polskim Westminsterze.

Niech nad Twą trumną jak nad arką świętą
Sam Bóg w błękitach porozpina tęcze
I niech żórawie z szyją wyciągniętą
Lecą — w obłokach girlandy pajęcze —
I znaczą tobie drogę uśmiechniętą,
Gdzie Twoich tęsknot dalekie przełęcze,
Myśli, jak szczyty gór sterczące dumnie,
Polska, co wolna marzy Ci się w trumnie...

Patrzyłeś kiedyś ze szczytu piramid
Pełnemi ognia i płaczu oczyma
Czy gdzie ptak jaki przez nieba aksamit
Lecący z Polski, wzroku nie zatrzyma,
Serca coś w piersi nosił jak dynamit...
Aż wypłakałeś modlitwą pielgrzyma,
Że anioł — duchów kolumna świetlista —
Odważył kamień z nas, jak z grobu Chrysta.

Dzisiaj ku Tobie idą korowody
Najserdeczniejszych a wiernych kochanek,
Słyszysz? ktoś śpiewa od kruszwickiej wody,
Ledwo uśmiechnął się w obłokach ranek,
W odwiecznym borze krwawią się jagody...
Królewska córka wije srebrny wianek,
Pioruny biją i wicher się zrywa,
Gdy mówi wróżka ludu nieszczęśliwa...

Tyś jest, któremu było z nieba danem
Rzucać nam serca w piersi jak we dzwony,
Przeto za Twojem hasłem zawołanem
Każdy z nas zrywał się ze snu szalony,
Każdy z nas zrywał się ze snu — Kordjanem!
Aż w gruz obalił cezarowe trony
Duch — błyskawica nad Polską ognista —
Zwycięski, wolny Rewolucjonista!...

Czy słyszysz? w harfę Wenedów ktoś trąca,
A naród walczy — orły — zawierucha —
Niebo goreje od mieczy tysiąca
I cała Polska serc ogniami bucha
Jak chorągwiami rota czekająca
Na wielki powrót swego Króla-Ducha,
Polska — na oczach naszych zorza złota
I Anhellego spełniona tęsknota!...

Przeto na triumf uderzcie fanfary
I dzwońcie serca o niebios przyczoły
Od Notre Dame świętej aż po Wawel stary,
Niech u bram straże trzymają anioły
I niech przed trumną pochylą sztandary:
Oto wracają królewskie popioły
Z wędrówki długiej na spokojne leże,
Na sen szczęśliwy w polskim Westminsterze!

Antoni Waśkowski.

WSPOMNIENIE.

Było śliczne czerwcowe popołudnie: pogoda i spokój w całej przyrodzie, słońce kłoniło się już ku zachodowi, rzucając czerwonawe blaski na lasy i pola. Szeroka, żwirowana aleja, wysadzana naprzemian klonami i jarzębiną, była w pełni rozkwitu wspaniale rozrośniętych drzew. Była to wigilja Bożego Ciała, ulubionego przeze mnie święta. Spieszyłam do kościoła na pierwsze świąteczne nieszpory, pełna radości wewnętrznej, która tak harmonizowała z otaczającą mnie przyrodą. Cieszyłam się niezmiernie na nadchodzące święto, obiecując sobie przez całą oktawę nie opuścić ani razu nieszporów. W pewnej chwili przyszło mi na myśl, że inni w domu wcale na to święto się nie cieszą, nie myślą wogóle o niem, przyjmując je z zupełną obojętnością. I przykrą mi była ta obojętność. „Jakby to dobrze było — pomyślałam — gdyby wszyscy mieli w duszy tyle radości, co ja w tej chwili, niechby oderwali myśl od kołowrota codziennych trosk i zabiegów. Gdy spodziewamy się odwiedzin kogoś drogiego lub miłego, jakiż radosny nastrój nas ogarnia, i drobne troski pierzchają i pogodnie patrzy się na codzienne trudy, a przecież w tym tygodniu święcić mamy odwiedziny Pana Jezusa — Boga naszego. W uroczystej procesji wychodzi On z kościoła na ulicę, zbliża się do naszych domów i pól, zaznaczając tem swe braterstwo z nami. Nic co ludzkie nic co ziemskie nie jest Mu obce, każdy szczegół naszego życia, naszej pracy głęboko Go obchodzi i właśnie te prawdy wyraża zbliżające się święto ze swojemi procesjami, prawdziwe odwiedziny Pana Jezusa. Zdawało mi się, że Pan Jezus utajony w Najśw. Sakramencie także radośnie oczekuje Swego wyjścia w procesji z kościoła... a ludzie się nie cieszą. Nagle zaświtała mi myśl, jakby można innych do radości pobudzić: Był mianowicie zwyczaj u nas, że gdy kto powracał do domu po dłuższej nieobecności, to przywoził wszystkim

domownikom podarki, stąd była podwójna radość z powrotu i z prezentu. A więc wiem, co zrobię, namówię mamusię, aby wszystkim sprawić jakieś podarunki z okazji i na uczczenie święta Bożego Ciała. Tak się też stało i radość była wielka, podarki były prawdziwą niespodzianką, a jeszcze tak się dobrze złożyło, że każdy dostał to, czego sobie życzył i czego w danej chwili potrzebował.

Minęło kilka miesięcy, przeszło lato i jesień, zaczęła się ciężka zima, tem cięższa, że po przewrocie bolszewickim głodna, chłodna, pełna grozy i wszelkiego bezprawia. Bez przesady powiedzieć można, że żywicielkami naszemi, były dwie pozostałe krowy; kłopot tylko że i one jeść musiały, a paszę dla nich dostawać trzeba było od komitetu bolszewickiego. Z podziwem patrzałam na służące nasze, jak codziennie dźwigały na plecach słomę i siano dla krów, na które nieraz i po godzinie wyczekiwać musiały przed stodołą, zanim komitetowy raczył im je wydać, oraz ciężkie wiadra wody ze studni.

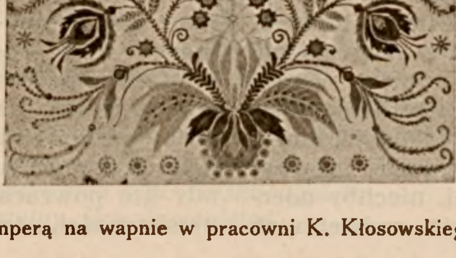
A przecież do tej utrudzającej pracy nie godziły się, poprzednio tak było zorganizowane, że wszystko co ciężkie, przywożono końmi; w dodatku ile jeszcze znieść musiały urągowisk i wyśmiewań za pozostawanie u nas na służbie. Wszyscyśmy przeto przypuszczali, że długo nie wytrwają, a wtedy znacznie gorzej przedstawiałoby się nasze położenie, bo przedewszystkiem trzebaby się pożegnać z krowami, któżby bowiem od komitetu wydostawał konieczną paszę.

Mijały jednak tygodnie i miesiące, a dziewczęta nietylko nie wspominały o porzuceniu służby, ale okazywały tyle zadowolenia, przychylności i życzliwości, jak nigdy przedtem, a dzięki temu były jakby ręką Opatrzności, ułatwiając nam na każdym kroku życie w tych ciężkich bardzo warunkach, jakie wytwarzał pobliski front wojenny oraz zbolszewizowanie armji i ludności.

Z pierwszemi jednak podmuchami wiosny wkroczyły wojska niemieckie, zajmując naszą okolicę, a wraz z tym faktem skończyła się zima bolszewickich rządów, w dziedzinie społecznej wróciły stosunki przedrewolucyjne, a więc i dla nas ustały poprzednie trudności, i niepewność jutra. Gdy razu pewnego w czasie rozmowy zapytałam jednej z dziewcząt, co je skłaniało do wytrwania na służbie pomimo tak ciężkich warunków pracy, odpowiedziała mi: „no bo to tak wtedy niespodziewanie dostałyśmy te bluzki na Boże Ciało“.

A mnie wówczas wszystko stało się zupełnie jasnem: a więc to On, ten Pan nasz i Przyjaciel najlepszy tak hojnie wynagradzał w czasie potrzeby tę jedną myśl o Nim i drobny czyn ku czci Jego i pamięci spełniony, a przytem jak działanie Jego jest cichem i pozornie nieznacznem.

M. B.



Fryz piecowy temperą na wapnie w pracowni K. Kłosowskiego w Zakopanem.

Z PRACOWNI ARTYSTY.

(WILLA „CICHA W ZAKOPANEM*)



K. Kłosowski: „Matka Boska“. (Obraz malowany na drzewie).

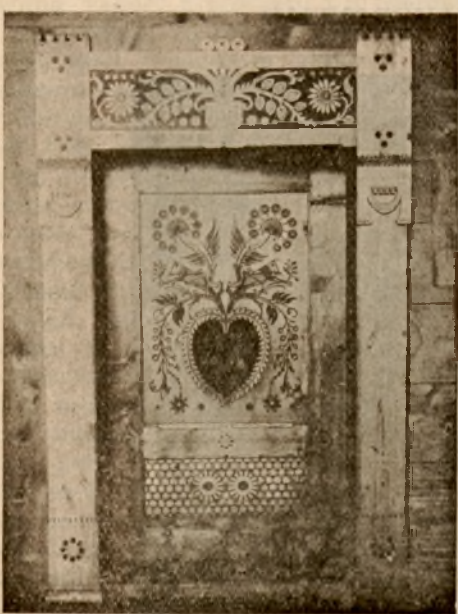


Brama wjazdowa. W głębi podwórko z bujnym ogródkiem kwiatowym.



Stajnia. Nad drzwiami napis rzeźbiony w góralskiej gwarze: Uchowaj Boze po syćkie casy — Od złej przygody bydełko nase.

*) Patrz Nr. 11 „Dziś i Jutro“.



Ciemnia fotograficzna w pracowni K. Kłosowskiego.
Rzeźba w drzewie świerkowem.



Fragment wnętrza pracowni.
Na przodzie dziecinne saneczki w stylu góralskim.

WIARA MŁODOŚCI.

Niech tam sobie ludzie starzy
Na ból życia narzekają —
Ale mnie się jeno marzy,
Że dni w słońcu upływają...

Niech się skarżą na niedolę,
Burze, wichry i zamieci,
Lecz ja zawsze wierzyć wolę,
Że nam słonko znów zaświeci!...

Chociaż łzawa szarość życia —
I cierpienia tłoczą serce,
Szczęścia płomień trza z ukrycia
Wydobywać po iskierce...

Miast nad sobą jęczeć, szlochać,
Smętek nocy wkoło szerzyć,
Trza pracować i coś kochać;
Trza ukochać coś i wierzyć!

Niech tam sobie, mówię szczerze,
Każdy co chce o tem plecie,
Lecz ja całem sercem wierzę,
W to, że szczęście jest na świecie!

Alina Kwiecińska.

CZERWONOGRÓD.

W n-rze 7-ym naszego pisemka wspomniałem już przy opisie Zaleszczyk o Czerwonogrodzie. W niniejszym artykuliku pragnę podać kilka szczegółów z dziejów tej starej osady podolskiej oraz garść wiadomości o jej położeniu i zabytkach.



Czerwonogród. Widok ogólny.

Czerwonogród (w powiecie zaleszczyckim) należy do najstarszych miejscowości na Podolu. Niektórzy historycy utrzymują nawet, że to osada najstarsza, dawny gród Czerwień, od którego cala ta ziemia otrzymała nazwę Grodów Czerwieńskich, względnie Rusi Czerwonej. Nie jest to jednak twierdzenie zupełnie pewne ani dowiedzione. Od wieku XV. był Czerwonogród siedzibą starostów królewskich. Władali nim po kolei Buczaccy, Jazłowieccy i Danilłowicze, stare i możne rody polskie. Był też tu silny, warowny zamek, który niejedną przeszedł walkę i nieraz był oblegany przez Tatarów, Wołochów, Kozaków i Turków.

Zamek ten leży na wzgórzu, na wschodniej stronie wsi. Po zaborze Galicji przez Austrję dostał się w ręce rodziny Ponińskich, a ci zamek, będącv w ruinie, przebudowali na wspaniały pałac. Pałac ten duży, ozdobiony dwoma smukłemi basztami, zdobny kolumnami, robi miłe wrażenie i stanowi jedną z najpiękniejszych siedzib pańskich w tych stronach. Dziś nieco przez wojnę zniszczony, jest w posiadaniu księżnej Marji Lubomirskiej. Przy pałacu obszerny, wspaniały park, a w nim ciekawy pomnik kamienny z r. 1813. Stoi on na miejscu dawnego klasztoru OO. Dominikanów, zniszczonego w XVI. w. przez Wołochów. Na postumencie tego symbolicznego pomnika znajdują się płaskorzeźby, ilustrujące ważniejsze zdarzenia z dziejów Czerwonogrodu.

Sama wioska Czerwonogród leży w uroczej, głębokiej kotlinie rzeczki Dziuryn (wpada do Dniestru), otoczona ze wszech stron lasami i wysokiemi skałami. Przy samem wejściu do wsi rzeka Dziuryn spadając ze szczytu skały w kotlinę, tworzy piękny wodospad. Obok wodospadu znajduje się stara figura św. Jana Nepomucena bez większej jednakowoż wartości zabytkowej



Czerwonogród. Wodospad.

czy artystycznej. Na Podolu wogóle napotyka się wielką ilość figur św. Jana Nepomucena, pochodzą one przeważnie z pierwszej połowy XIX. w., kiedy duszpasterstwo sprawowali księża Czesi, przez rząd austrjacki tu nasłani. Do

zabytków Czerwonogrodu zaliczyć należy też i kościół parafjalny, zbudowany w r. 1716. Kościół jednonawowy, niewielki, o stromym dachu i pięknej fasadzie. Charakter ogólny budowy: późnorenesansowy z pewnemi reminiscencjami gotyku. We wsi mają też SS. Miłosierdzia zakład sierót.

Piękne położenie, zamek i wodospad ściągają do Czerwonogrodu liczne rzesze wycieczkowców zwłaszcza w porze letniej. Dojazd stosunkowo niewygodny, najbliższa stacja kolejowa Worwolińce (na linji Czortków — Zaleszczyki) a stąd jeszcze 7. km. drogi końmi lub jak na wycieczkowców przystało, piechotą.

Ks. Felicjan Palewicz.

KILKA WSKAZÓWEK ZDĄŻAJĄCYM NA UNIWERSYTET.

Młode serca radośnie biją i twarz każdą opromienia jasny uśmiech. Zdaje się, że świat lepszy, ludzie bliżsi, niebo bardziej błękitne... A przecież nic się nie zmieniło. Tak jak dawniej, smutek z weselem się splata, a łza rosi uśmiech; tak jak dawniej toczą zaciętą walkę zło i dobro — wszystko tak, jak było!

Tylko młodości naszej otworzyło życie bramę na nowy świat, świat samodzielnego, ciekawego, nieznanego jutra — mamy w ręku maturę! Ten biały, stopniami poznaczony papier, oznacza wiele! Nagrodę za trudy, ocenę pracy i wolność wyboru szlaku dalszej wędrówki.

Całą energję skupiamy w jednej, jedynej myśli: co robić, żeby sobie i innym zapewnić szczęście? I jakiś głos wewnętrzny szepcze bezustannie, że w jakikolwiek sposób wejdziemy w życie, jako dorosły już człowiek, będziemy szczęśliwe. Nieszczęście i troski prześladować będą takie tylko jednostki, które w chwili ciężkiej nie znajdą żadnego ludzkiego serca, odrobiny wdzięczności, cienia myśli współczującej — bo pracowały tylko dla osobistego szczęścia.

A pola do pracy dla innych dużo. Całe obszary odłogiem leżące, czekają na nas, w pragnieniu podświadomem, aby wydobyć z nich skarby rozumu, woli i serca.

Nie poruszając innych terenów pracy, z których każdy wymaga specjalnego omówienia, a których liczba i różnorodność zapewnia swobodę wyboru każdej indywidualności, spojrzymy w jedną stronę — wykształcenia uniwersyteckiego.

Coraz większa liczba kobiet dąży w tym kierunku, coraz śmielej stawia kroki na nowym do niedawna gruncie, coraz łatwiej wchodzi w tryb życia akademickiego, bierze udział w organizacjach, uczy się być pożyteczną.

Ale nikt nie zaprzeczy, że trudno wiedzieć odrazu, w którą stronę się zwrócić, w czem brać udział, gdzie pracować, jakim wpływom podlegać.

I wtedy wskazanie i przypomnienie pewnych organizacyj może się okazać pożytecznem.

Na czoło wszystkich organizacyj religijno - wychowawczych wysuwa się „Sodalicja Marjańska Akademiczek". Sodalicja o oddziałach rozgałęzionych we wszystkich miastach uniwersyteckich, wprowadza umiejętnie w czyn wzniosłą dewizę „módl się i pracuj", stanowi ostoję wśród dzisiejszej obojętności religijnej, słowem i czynem pomaga bliźniemu, ulepsza, jednoczy i kształci.

Stow. „Odrodzenie“ — o równie szeroko rozgałęzionej działalności idzie w myśl hasła: „Przez podniesienie jednostki, podniesienie poziomu państwa“. Na uwagę zasługuje sekcja kobieca, omawiająca na specjalnych zebraniach sprawy i tematy, młodzież żeńską bliżej obchodzące. Siedziba w Krakowie — Kanonicza 16.

Ważną, choć zupełnie inną rolę odgrywają stowarzyszenia samopomocowe. Oprócz ogólnych bratnich pomocy są stow. sam. żeńskie. W Krakowie, plac Jabłonowskich 3, „Jedność“ — polskie żeńskie stowarzyszenie studentek Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Założone przed wojną i operujące małemi środkami, dziś ma możność pomieszczenia w własnej części domu kilkudziesięciu koleżanek, udziela znacznych pożyczek, wysyła na kolonje, prowadzi trafikę, sekcję pośrednictwa pracy, stara się pod każdym względem nieść materjalno-organizacyjną pomoc.

Podobne organizacje istnieją we Lwowie „Koło studentek“ — Uniwersytet, i w Poznaniu „Organizacja studentek“ — Uniwersytet, Collegium Minus, działalność podobna.

Cały szereg kół naukowych, obejmujących dział danego przedmiotu, zaopatrzonych w bibljoteki i pomoce naukowe, dopełnia całości. Jest więc koło romanistów, matematyczne, polonistów, przyrodnicze i t. p. Gdy zaczniemy działalność i skupimy zainteresowanie na tych kołach, staniemy się pożytecznemi i nauczymy się wiele.

A więc — do pracy!

Z. Skusiewiczówna
sł. fil.

SEN.

Sen to był, przepiękny sen nad ranem:
wiosna, wiosna! Świat się pławił w złocie;
drobnych muszek migotliwe krocie
w lekkiem pląsie mknęły ponad łanem,
i drżał pieśnią las z krańca po kraniec,
i swawolne elfy wiodły taniec...

Wiosna... wiosna!

Ach, jak słodko lśniły jezior fale.
lekko, lekko niosąc aż do brzegu
w niewstrzymanym, choć jałowym biegu
niebios błękit, śpiący w ich krysztale.

Cicho... cicho...

Mocne echa grały na polanie;
kwiat przyjaźnie tulił się do kwiatu...
Czy przestrogę może szeptał bratu,
czy tajemne zwierzał mu kochanie?
Któż wie? Szepty kwiat w swem łonie schował,
jeno wiatr go muskał a całował.

Gorąco... gorąco...

Marja Stagieńska,

PIERWSZA MIŁOŚĆ MARYNKI.

4)

Na łóżkach leżały stosy jasnych, kolorowych płaszczy, kapturków, szalików. Marynka rzuciła na nie swoje białe i niebieskie futerko. Poprawiła srebrną przepaskę we włosach, zarzuciła srebrem przetykany szalik na ramiona.

— Śliczna suknia! — zawołała Helenka — cała srebrna i biała.

— Ślicznie dziś wyglądasz — dodała Wanda. — Jak egipska boginka.

Marynka rzuciła okiem w duże lustro. Rzeczywiście ładnie wyglądała. Uśmiechnęła się radośnie do swoich kuzynek i przeszła z niemi do salonu.

Wszystko było dziś ładne, wszyscy sympatyczni. Mamy tak jakoś dobrotliwie na nią patrzały, panny serdecznie witały. Podeszla uprzejmie do Eli. Jeśli się ona kocha, jak powiadają w panu Tomaszu, to bardzo będzie biedna. W myśli uważała się Marynka prawie za jego narzeczoną. Przecież nawet mama myśli, że jej się dziś oświadczy.

Powoli i panowie zaczęli przechodzić do salonu. Grupy się mieszały. Jedni rozchodzili się po mniejszych salonikach, reszta stała zwartą masą na środku salonu i sprawiała wrażenie tłumu. Gwar wzmagał się ciagle. Huczały setki rozmów. Co chwila zrywał się jakiś wybuch śmiechu, ale wnet ginął w pomruku rozmowy.

Młodzież otoczyła Marynkę. Rozmawiała wesoło, oczy jej się śmiały. Co chwila się ktoś witał, nowi goście ciągle napływali. Marynka została w dużym salonie, naprzeciw otwartych drzwi hallu i wesołem okiem patrzyła, jak wchodzą po schodach spokojni, wypoczęci goście rautowi: zakapturzone panie, panowie w czarnych futrach i błyszczących lakierkach, wojskowi, pobrzękujący szablami, Za każdym pojawiającym się mundurem patrzyła Marynka baczniej, czasem nie dosłyszała o co ją pytają i dopiero spostrzegłszy omyłkę, zwracała się z uprzejmym uśmiechem do swego interlokutora.

Chwile mijały. Na czerwonej drabinie schodów coraz rzadziej ukazywali się zapóźnieni goście.

Marynka się zniecierpliwiła, Przeszła do saloniku obok i oparłwszy się o framugę okna, rozmawiała dalej. Wiedziała, że jak się na coś czeka, to nie trzeba o tem myśleć, to wtedy czekanie mniej się dłuży. Ale coraz mętniej słyszała co do niej mówią. Zaczęła się niepokoić. A nuż nie przyjdzie? Przeszyła ją straszna trwoga. Mimowoli zwracała głowę ku drzwiom dużego salonu. Zniechęceni jej roztargnieniem młodzi ludzie wynosili się dyskretnie. Marynka ani się spostrzegła, jak została sama.

Byli już wszyscy jednoroczni, koledzy pana Tomasza. Jego nie było.

Marynka czepiała się ostatnich promyków gasnącej nadziei.

— Przyjdzie — przyjdzie — napewno — tylko się spóźnia.

— Nie przyjdzie — przemawiała nieubłagana rzeczywistość.

Otworzono drzwi bufetu. Była dwunasta. Nie było się co łudzić dalej. Marynce nagle pociemniało w oczach. Zdawało jej się, że zgasły wszystkie światła, że podłoga usuwa jej się z pod nóg, że leci w jakąś czarną jamę. Spostrzegła, że stoi sama jedna, oparta o framugę okna. Gdzieś tam huczy raut, snują się jacyś goście, ale ona jest w tym tłumie samotna, opuszczona. Co to za ludzie, czy to wogóle ludzie? to jakieś manekiny. Na raucie niema właściwie nikogo. Jakaś dziwna pustka powiała przez pokoje. Marynkę przebiegł dreszcz. Zatuliła się w swój srebrem tkany szalik. Przemocą wstrzymała łzy.

— Niema go, niema — nie przyszedł —

dźwięczało jej w uszach. Przeszła z całym tłumem do bufetu, nie widziała nikogo, wszystko było zamazane i szare. Usiadła przy pierwszym stoliku i schyliła głowę nad talerzem.

— Co pani jest, panno Marynko? — zapytał pan Sietyński, jej dobry przyjaciel, siadając koło niej. — Ma pani jakie zmartwienie?

— Ja zmartwienie? Nie. Skąd? co za zmartwienie? — i podniosła dzielnie głowę z wypiekami na twarzy i błyszczącemi oczami.

— Bo tak pani jakoś dziwnie wygląda.

Czerwony rumieniec oblał twarz i szyję Marynki.

Tego jeszcze doprawdy brakuje, żeby się ludzie spostrzegli, żeby się nad nią litowali. Może niejeden i wyśmiałby się z jej niedorzecznych nadziei. Szczęście, że niema Jadzi, zarazby jakąś złośliwość powiedziała. Wspomnienie rozmowy z Jadzią przeleciało gorzkiem, złowróżebnem wspomnieniem przez jej myśl. Zmusiła się do uśmiechu.

— Nie, naprawdę nic mi nie jest, tylko nie bardzo lubię rautów. I trochę tu zimno — dodała, wstrząsając się.

Pan Sietyński spojrzał na nią uważnie, bo w bufecie było gorąco i duszno i nie pytał już o nic, tylko zaczął z nią rozmawiać o rzeczach prostych i zwykłych. Marynka poczuła nagle do niego wielką wdzięczność.

Powoli przechodzono z powrotem do salonu. Ale raut nie kleił się. Zorganizowano jakiegoś dżenkinsa, ale nie wszyscy chcieli grać.

Marynka błąkała się po salonach. Jakiś straszny ciężar gniótł jej piersi. Czuła, że jest w niej jakiś ogromny ból, ale nie chciała się zastanawiać z czego pochodzi.

— Nie przyszedł! — przelatywała rozdzierająca błyskawica świadomości.

— Cóż strasznego? może nie mógł, cóż znaczy jeden raut. Jutro przyjdzie wytłumaczyć.

— Nie przyjdzie mówiło jakieś przeczucie. Nie przyszedł, bo nie chciał cię spotkać, nie chciał cię widzieć. Miała wrażenie, że jakaś lodowata dłoń chwyta ją za serce.

Ale trzeba było dotrwać do końca rautu. Zbliżyła się do rozmawiającej grupy w dużym salonie. Zobaczyła wśród niej Elę, spokojną i wesoło rozmawiającą. Ona się nie martwi. Ona zostaje we Lwowie, wie, że go zobaczy.

Może wie coś więcej... Straszne, zazdrosne podejrzenie wciskało się do serca. Nie, nie będzie mu mogła powiedzieć, że ona, Marynka, chodziła jak błędna na tym raucie, na którym nie było jego, na którym nie było nikogo. Wmieszała się do rozmowy. Zaczęła mówić głośno, chciała być ożywiona i w dobrym humorze. Czuła, że ją ogarnia niebywałe podniecenie. Co chwila wybuchała głośnym nerwowym śmiechem.

W rogu za drzwiami stał stolik do kart. Widocznie grano na nim przed kolacją.

— Zagrajmy sobie w bridgea, co tam dżenkins!

Młodym ludziom nadzwyczajnie spodobała się myśl grania z pannami w karty. Ela nie chciała.

— Gdzież tak, na raucie grać w karty. Tatko na pewno gniewałby się.

— Co znowu. Cóż to złego? Właśnie, że zagram — wołała rozgorączkowana Maryka.

Czuła że musi coś robić, czemś się zająć. Wkrótce siedziało z Marynką trzech młodych ludzi przy stoliku i zaczęła się trochę fantastyczna gra.

Ale nie trwała długo. Przy stoliku stanęła niespodziewanie mama.

— Marynko cóż to za pomysł, żebyś siadała do kart. Proszę cię przestań zaraz. Idziemy.

Mama miała bardzo niezadowoloną minę. Marynka się zmieszała. Młodzi ludzie zerwali się od stolika.

— Proszę pani to tylko chwileczkę, tak na żarty — nie graliśmy na serjo — tłumaczyli, widząc że mama Marynki naprawdę się gniewa.

Mama z Marynką siadły do powozu. Marynka strasznie się bała, że mama zacznie mówić o panu Tomaszu. Jakto przecież była pewna, że jej się oświadczy,

a on wcale nie przyszedł. Obok bólu i żalu coraz silniej grała w Marynce urażona miłość własna. Zaledwie więc zamknęły się drzwiczki karetki, zaczęła opowiadać o raucie:

— Mama nie ma pojęcia, jak było zabawnie. Jeszcze nigdy nie byłam na takim miłym raucie. Na żadnym balu tak się nie bawiłam. Stanowczo pan Sietyński jest najmilszy człowiek we Lwowie. Umówiliśmy się jutro na rolki. Szalenie się cieszę. Szkoda, że już nie długo wyjedziemy. Dopiero teraz zaczyna być zabawnie.

Chciała jeszcze powiedzieć, że dobrze, że ten pan Tomasz nie przyszedł, bo ją już zaczyna nudzić, ale jej to nie przeszło przez gardło i czuła, że jak o nim wspomni, to się rozpłacze.

Mama nic nie odpowiedziała. Nie wspomniała już nawet o tym nieszczęsnym bridgeu, z czego Marynka była bardzo rada. I tylko powiedziała, że w przyszły czwartek muszą już stanowczo jechać.

Nigdy Marynka nie mogła sobie dokładnie przypomnieć co się działo przez te ostatnie dni jej bywania. Złożyła zdaje się masę wizyt, rzucając wszędzie takie bilety z dopisanem p. p. c. była jeszcze na jednym raucie, parę razy na rolkach. Pana Tomasza już nie spotkała. Zapadł jakby pod ziemię.

Marynka zacinała zęby; nie spytała o niego nikogo, ani jego kolegów, ani Hanki. Poszła nawet do Hanki się pożegnać.

Wyszła od niej z rozdartem sercem. Na dnie duszy tliła jej jeszcze nadzieja, że Hanka coś powie, że jej powie, że pan Tomasz wyjechał dla bardzo ważnych interesów, że był zaziębiony i nie wychodził, a tu nic, nic... Przeszła jej przez chwilę myśl, żeby Hance wszystko powiedzieć, żeby jej powtórzyć swoją rozmowę z Jadzią, powiedzieć, że to nieprawda, że powiedziała tak tylko przez złość, żeby się jej spytać co się stało. Ale zbrakło jej odwagi. A nuż Hanka powie: Nie, nie, bądź spokojna. Jadzia nic nie mówiła, tylko Tomek kocha się w kim innym i nie chciał cię widzieć, bo mu się zdawało, że ty jesteś nim zajęta. Albo: ale nie, Tomek nigdy o tem nie myślał, tylko tak sobie z tobą rozmawiał. Nie, nie chce tego usłyszeć. Nie chce, żeby się potem nad nią użalali, wszyscy się dowiedzą, że ona się nieszczęśliwie kochała, że teraz się martwi. A Hanka taka do niego podobna. Jak żywy stanął jej w oczach z tem czarnem, błyszczącem spojrzeniem, z tym niskim tak łatwo w śmiech przechodzącym głosem.

Z upragnieniem czekała Marynka dnia wyjazdu. W dogasającem pod koniec postu życiu światowem czuła się taka sama, opuszczona, nieszczęśliwa. Już woli tę samotność u siebie na wsi. Tutaj nawet wieczorami nie może się wypłakać, bo mieszka z mamą, a za nic nie chce, żeby ją mama pocieszała, żeby jej mówiła takie ciepłe. serdeczne, miłosierne słowa. Marynka czuje, żeby jej się serce rozpękło. Już woli tak się zaciąć i nic nie mówić, nie tykać rany. Ale dławiły ją te niewypłakane łzy, a przytem trzeba być wesołą, swobodną, nic po sobie nie pokazywać. Marynka goniła resztką sił i nerwów.

Gorączkowo pakowała swoje karnawałowe szmatki. Ach! to ta suknia z pikniku, jeszcze są na niej ślady rozgniecionych fijołków, a to ta przeklęta srebrna suknia z rautu u Zaworskich. Marynce przechodzi przez myśl, że gdyby umarła, mogliby ją w tej sukni pochować...

Gdy pociąg ruszył z lwowskiego dworca wyszła Marynka na korytarz, spuściła trochę szybę i wychyliła się przez okno.

Szalony pęd powietrza uderzył ją w twarz. Pośpieszny pociąg walił w przestrzeń. Marynce się zdawało, że leci w jakąś czarną, pustą przepaść, w długie, szare, beznadziejne dni. Na dworze zaczęło się ściemniać. Wzdłuż toru kolejowego biegły białe, gładkie drogi. Szły z nim jakiś czas równolegle, potem bez widocznego powodu skręcały gdzieś w dal, ginęły za skrętami gór w mrokach lasów. Marynce zdawało się, że to jasne, równe drogi jej szczęśliwości odbiegają od niej i nikną w złym mroku.

(C. d. n.) *Zofja Morstinowa.*

PRZECIĄGNIĘTA STRUNA.

Wigilja św. Jana; wieczór pełen nieuchwytnego czaru, wieczór legendowych kwiatów paproci, szczęście zwiastujących...

Długi dzień letni, przechodził zwolna w porę przedwieczorną. Słońce słało z pogodnego szafiru ukośne, coraz to dłuższe smugi, złocąc niemi aleje jaworowskiego zamku Sobieskich.

W powietrzu unosił się nadmiar kwietnych zapachów: tu przeważała woń lilij, ówdzie krzewów różanych, to znowu szereg drzew akacjowych, stojących w białym rozkwicie — wionął wonnym, delikatnym oddechem.

Dwór w Jaworowie zapragnął dziś uczcić elekcję dostojnego dziedzica „dobrą myślą festynową“.

Rozpocząć ją miała ulubiona w tych czasach niemiecka zabawa „Wirtschaft“, do której jeden z dworzan ułożył tło swojskie.

Wśród ślicznej, parkowej polanki sklecono chatę z okrąglaków i chrustu, bez okien, z niziutkiem wejściem a daszkiem słomianym, na którem stało bocianie gniazdo.

Niską chatynę zamieszkał Piast, kołodziej. Wyciągnął ów los rotmistrz Sierpiński, podczas gdy rola Rzepichy przypadła chorążance Żarskiej.

Oboje przybrani w skromne szaty wieśniacze, krzątali się wesoło po całem obejściu. Roboty było huk, jak zwyczajnie przed przybyciem licznych gości. Był to bowiem dzień postrzyżyn pierworodnego Piastów, Mieszka.

Mały królewicz, Jakóbek Sobieski, przez rodziców zwan „Fanfanikiem“, cieszył się tą rolą z dziecięcym szczebiotem.

Już poczęli napływać goście do Piastowej zagrody, wszyscy w luźnych ubiorach, przystosowanych do nastroju chwili. Już zasiądnięto przy długich stołach, ustawionych przed chatą, na których widniały misy mięsiwa i bochny chleba, stały dzbany, napełnione miodem.

I pogwarka się snuła, w sielankowym trzymana tonie, co niezbyt łatwo przychodziło dworskiemu towarzystwu.

Wtem zjawili się przy furcie dwaj młodzieńcy w ubogiej odzieży, trzymając kije wędrowne w rękach. Twarze mieli szczególnej urody, w oczach dziwne grały im błyski: zda się, para nieziemskich postaci...

Ścichła gawęda, młodzi gospodarstwo pobiegli do wrót, zadzwonił srebrzysty śmiech Mieszka — Fanfanika.

Jeden z aniołów, czy to przez roztargnienie, czy też nagłą uniesion pustotą, poprosił Piasta francuskiem słowem o gościnę. Wśród biesiadników wszczęły się tłumione zrazu chichoty, które rychło wybuchły niepowstrzymanym śmiechem. Pierzchnął w mgnieniu oka sielankowy nastrój: berło zabawy objęła banalna rzeczywistość.

Długo przeciągnęła się uczta przy dźwiękach dworskiej kapeli. Postrzyżynom Mieszka bajeczna towarzyszyła wesołość.

Słońce tymczasem skryło się do połowy za szpilkową ścianą bliskiego lasu. Blada zrazu pozłota zaczęła szkarłatnieć w środku, jak gdyby krwią serdeczną wzbierając; od lśniącej czerwieni występowały na niebo kręgi różowe, złociste, seledynowe, rozpływając się zwolna w szarzejącym już błękicie.

Białe posągi zdobiące park jaworowski, stanęły w różowej poświacie, szemrzące cicho fontanny zaperliły się rubinami, od kwiatów bił zapach odurzający.

Z Piastowego obejścia zaczął teraz wychodzić malowniczy pochód.

Rozbawiona drużyna, zrzuciwszy sza-

ty wieśniacze, w prześlicznych wystąpiła strojach. Muzyka zaczęła grać poloneza: w takt jej tonów, rozwijał się po alejach parkowych staropolski taniec, pełen majestatu i sarmackiej piękności. Prowadzili swych gości w taneczny korowód: Piast — kołodziej z Rzepichą.

Brząkały karabele mężczyzn, iskrzyły się ogniem klejnoty niewiast, a twarze tańczących płoniły się w łunach zachodu delikatnym różem, to znów lekką drgały pozłotą.

Polonez wił się dookoła parku posuwistym wdziękiem, orkiestra grała coraz głośniej, aż echo odpowiadało jej z lasu, aż poczęły wtórować wesołym rechotem żabki w ogrodowych sadzawkach.

Zanim zdołano przetańczyć „odbijanego“ i dalsze figury — gwiazda słoneczna znikła już z horyzontu, a przejrzysty zmierzch letni osnuwał zwolna jaworowski park.

Pachołcy zapalili pochodnie, i wśród pomarańczowo-krwawych blasków, ochocza zabawa szła w dalszym ciągu.

Tańczono teraz francuskiego „gallarda“, niemieckiego „cenara“, poczem towarzystwo wróciło do swojskich gier. Był zatem młynek, chwytane koło, hajduczek i inne.

Z nastaniem zupełnego mroku poczynały płonąć w oddali, hen na skrajach lasu ogniska, jedno po drugiem, niby szkarłatne, przyziemne gwiazdy. I znów odezwało się echo, roznosząc na wszystkie strony słowa świętojańskiej piosenki:

A teraz ten wieczór sławny
Święćmy jako zwyczaj dawny:
Niecąc ognie do świtania,
Nie bez pieśni, nie bez grania.
(Kochanowski).

To okoliczna ludność urządzała tradycyjne „sobótki“.

Wtórowały piosence wrzaskliwe śmiechy, a wkrótce wiejskie dziewczęta zaczęły pląsać dookoła ognisk, to znów parobczaki skakali przez płomień.

Drużyna dworzan przerwała swoją zabawę i ruszyła w stronę lasu, chcąc przypatrzeć się bliżej wiejskiej ochocie.

Znów kilka godzin minęło. Nikt nie zauwaył, jak krótki wieczór przeszedł w noc ciepłą, miesięczną.

Wtem któryś z dworzan zaproponował:

— Spieszmy w las, szukać kwiatu paproci!

Przedni pomysł nagrodzono oklaskami.

Pierwsze szeregi drzew czerwieniały odbiciem płonących ognisk, natomiast wnętrze boru ciągnęło ku sobie przepastną, pełną tajemnic ciemnością.

Rozeszły się poszczególne pary po leśnych drożynach. Rotmistrz Sierpiński wybrał się z Basią na wspólne poszukiwania. Świecił im księżyc, przechodzący w pełnię; lecz blask miesiąca ćmiły raz wraz obłoczki, które zasnuły wieczorem niebo. Przytem drzewa rosły skrajem lasu tak gęsto przy sobie, że miejscami zgoła nie przepuszczały księżycowych promieni; lśniły jeno w ciemnościach zielono-złotemi iskrami świętojańskie chrząszczyki.

Sierpiński szedł odważnie naprzód, Basia trzymała się jego ramienia, niby zalęknione dziecię. Znalazło się oto dziewczę po raz pierwszy w lesie tak późną godziną, z obcym człowiekiem; lecz równocześnie przenikało jej serce słodkie wyczekiwanie szczęścia...

Dłuższą chwilę błądzili wśród leśnej głuszy, zanim oczy ich zaczynały rozróżniać kępy paproci. Nie omijając najmniejszego krzaczka, pochylali się oboje ku ziemi, przeszukując gorliwie każdy listek.

Daremne były ich trudy... Młodzi nie zrażali się jednak. Szukali niezmordowanie szczęścia, potykając się o śliskie kamienie, o wykroty mchem porośnięte, raniąc sobie ręce przy cierniowych krzewach. Wiadomo: szczęście nie przychodzi zbyt lekko...

Wtem z piersi Basinej wyrwał się okrzyk zachwytu:

— Niech waszmość spojrzy — zawołała, wskazując ręką. — Oto tam znaj-

dziemy upragniony kwiat... Z całą pewnością!

— Ciszej, panienko, ciszej! — ostrzegał rotmistrz. — Gotów nas kto uprzedzić...

Księżyc rozbłysnął się teraz wspaniale, odsłaniając młodym oczom bujną kępę, olbrzymich paproci; lśniło tam w środku, migało, niby kwiat jakiś przedziwnej piękności.

Równocześnie odezwał się w pobliżu głos słowika: w cichem, przepojonem żywiczną wonią powietrzu rozniosła się naraz pełna, melodyjna, królewska jego pieśń.

Ptaszek skakał z drzewa na drzewo, zbliżając się ku paprociowej kępie; młodzi szli za nim, jak gdyby przecudnym prowadzeni śpiewem. Już dochodzili do gąszczu paproci; czarodziejski kwiat ciągnął ich z nieprzepartą siłą ku sobie. Naraz wstrząsnęły się drzewa od gwałtownego tętentu konia i rychło gromki rozległ się okrzyk:

— Baczność!

Odskoczyli na bok oboje: pomiędzy nich wjechał galopem jeden z dworzan, i nie zatrzymując rumaka, rzucił z szorstkim uśmiechem:

— Spieszę z pilną sprawą do Krakowa — do króla jegomości! Czołem, waćpaństwu! Życzę dobrej zabawy...

Zniknął w przelocie chwili, tamci zaś stali pod drzewem bez ruchu, z wezbranym w sercu żalem. Kopyta końskie stratowały bowiem doszczętnie wspaniały gąszcz paproci...

*

„Dobra myśl festynowa", pląsy, a zwłaszcza nocny ów spacer tak zmęczyły chorążankę, że ledwie jasną główkę przytknęła do poduszki, zapadła w twardy sen, z którego rozbudziło ją słońce złotym pocałunkiem.

Nie chciało się jeszcze Basi opuszczać miękkiej pościółki; przymknęła więc oczy i pogrążyła się w roztrząsaniu szczegółów wczorajszej zabawy. Ze słodkich marzeń wyrwał ją nagły niepokój:

— Gdzie podziało się moje noszeniczko?

Wyskoczyła czemprędzej z łóżka i zaczęła szukać klejnotu. Przypuszczając, że ściągnęła go niebacznie przy zrzucaniu festynowych szatek, przetrząsała starannie jeden kawałek odzieży po drugim. Napróżno.

Naszyjnik ten z szafirów, wraz z złotym krzyżykiem, dali jej rodzice w dniu pierwszej Komunji św.; tem samem stanowił on dla Basi nader cenną pamiątkę. A że chorążanka była trochę zabobonną, więc zgubę klejnotu w zaraniu dnia wzięła za znak, coś niedobrego wróżący.

— Gdzie mogłam go zgubić... gdzie? — rozważała z niezwykłem u niej skupieniem. — Jeśli nieszczęście stało się w lesie, to już pamiątka stracona...

Na samą myśl o tem, omal że nie wybuchła płaczem. Zapobiegła łzom krzepiąca nadzieja:

— Oj, ściągnęłam pewnie noszeniczko, ściągając spiesznie odzież Rzepichy... Tak, tak! Szmatki leżą od wczoraj w Piastowej zagrodzie; tam zguba musi się znaleźć...

Odziała się szybko i jeszcze ze snu różowa, wybiegła do ogrodu.

Istne czary rozsiał wczesny poranek w jaworowskim parku. Świtaniem przemknęła krótkotrwała burza, odświeżając drzewa i kwiaty; to też ogród wydawał się być jednym olbrzymim bukietem, siejącym dookoła bajeczne zapachy. Skropione deszczem liście mieniły się w słońcu, fontanny sypały skrzące brylanty, ptactwo śpiewało na wyścigi. Niewysłowiony czar i rzeźwość powietrza upajały duszę.

Chorążanka śpieszyła w lekkich podskokach ku Piastowej zagrodzie, lecz dochodząc już celu — wstrzymała się spłoszona.

Na ławie ,przed chatą ,siedział rotmistrz Sierpiński z głową ukrytą w dłoniach, pogrążon w zadumie, czy też w ciężkiej trosce.

Pierwszą myślą Basi wobec tego niespodziewanego spotkania, był zamiar

ucieczki, zwłaszcza, że ranny negliżyk przejmował ją wstydem.

Lecz Sierpiński usłyszał odgłos zbliżających się kroków, gdyż podniósł głowę, a oczy rozbłysły mu naraz tak wielką radością, że Basia poniewolnym spłonęła rumieńcem.

Młodzian powstał, skłonił się przed nią głęboko, a patrzał z prawdziwym zachwytem.

Bo też chorążanka wyglądała uroczo. Rozburzone jej włosy, które nie zetknęły się dziś z grzebieniem, okalały niby aureolą jej twarz, wijąc się dalej złotym warkoczem po białej sukience. Widoczne zakłopotanie dodawało dziewczynce powabu i wdzięku.

— Cóż sprowadza tutaj waćpannę o tak wczesnej porze? — zapytał rotmistrz tonem wielkiego zdziwienia.

Basia uspokoiła się wprędce. Zakrywając rączkami wycięcie szyi, odparła żywo:

— Zesłał mi Bóg nagłe zmartwienie: zgubiłam wczoraj noszeniczko, które dostałam od szanownych rodziców. Chcę oto poszukać klejnotu w szatkach Rzepichy...

Zniknęła w głębi domku. Sierpiński tymczasem zaczął przechadzać się opodal niespokojnym krokiem.

Ściągnęły się ciemne jego brwi, jak w chwilach, kiedy człowiek rzecz jakąś w skupi niu rozważa, ręka raz po raz przecierała czoło. Nie spuszczał oczu z Piastowej zagrody.

Wtem rozległ się radosny głos Basi:

— Znalazło się noszeniczko... znalazło!

Sierpiński, objąwszy rozkochanym wzrokiem postać wychodzącej z domku dziewczyny, odezwał się znienacka:

— Chorążanko! Proszę o chwilkę rozmowy...

Głos rotmistrza brzmiał tak dziwnie a uroczyście, iż Basia spojrzała na niego z wielkim niepokojem. Czuła instynktownie zbliżanie się jakiejś ważnej, przełomowej chwili, do której nie jest zgoła przygotowaną...

— Zwyczajem stało się u nas, czy raczej modą — zaczął młodzian — że każdy ważniejszy krok w życiu wyprzedzać muszą szumne, kwieciste oracje. Co do mnie — nigdy nie lubiłem i nieznosiłem tych ceremonij... Racz tedy, chorążanko, zezwolić, abym krótko wypowiedział to, co mi oddawna na sercu leży. Z woli Bożej pokochałem waćpannę głęboko, a szczerze... pokochałem nie od dzisiaj. Dla tejże przyczyny śmiem oto zapytać: czy serduszko panienki bije podobnem uczuciem względem mej skromnej osoby?

Wyznawał to wszystko słowem niewyszukanej prostoty, lecz ciemne oczy gorzały mu przeogromną miłością, a prawica ściskała coraz silniej drobną dłoń dziewczęcia. Widząc, że Basia to płonie rumieńcem, to blednie naprzemian, wyraźnem już ruszył pytaniem:

— Czy raczy tedy waćpanna zostać moją żoną, dozgonnym druhem — przyjacielem?

Lecz ona była oświadczynami jego tak oszołomiona, że nie zdołała uświadomić sobie należycie stanu własnego serca.

Z chaotycznego tła myśli i uczuć, szumiących jej w główce, wyłaniało się tylko z przedziwną wyrazistością wspomnienie czułego stosunku króla jegomości ku Marji Kazimierze. A toż wspomnienie działało na Basię tak silnie, wprost wszechwładnie, że nie mówiąc słowa, zaczęła trząść główką przecząco.

Młodzian drgnął, puścił rękę dziewczyny; oczy przygasły mu, zmętniały.

Nastało ciężkie, kłopotliwe milczenie; przerwał je wreszcie Sierpiński.

— I jakiż jest powód takowej niechęci? — zapytał srodze podrażnion. — Co właściwie może mi panna zarzucić?

— A to — odrzekła z nagłym rezonem — że przyrzekłam sobie wejść w śluby małżeńskie tylko z takim kawalerem, który otaczałby mnie niepowszednią miłością, który woli mojej takby ulegał i taki był zawsze serdeczny, jak jest król jegomość względem małżonki swojej...

Przelotny uśmiech przewinął się po twarzy dziewczęcia.

— Mój przyszły jegomość — ciągnęła z wzrastającą swobodą — niechże pod nieobecność swoją pisuje i do mnie takowe czułości: „Jedyna duszy i serca pociecho, najśliczniejsza i najukochańsza Basieńko!“ Musi on spełniać wszystkie moje życzenia, a przytem miłować mnie bardziej nad zdrowie, nad życie! Inaczej wolałabym siać rutkę do śmierci. Tak sobie postanowiłam... tak!

Trzepała chorążanka bezmyślnie, własnem upajając się słowem, a w źrenicach latały jej iskry, z twarzy nie schodził rumieniec.

— Zasię z oczu waćpana patrzy, że takimbyś nie był... Że takbyś nie czynił!

Nagle jakby dziewczynę coś tknęło, jakby ją ostrzegało, że posuwa się zbyt daleko; bo zniżając głos, dodała tonem wdzięcznej zachęty:

— Chyba, gdybyś się waćpan odmienił... natenczas...

Sierpiński nie odpowiedział jej zrazu. Targał wąsy nerwowo, ostry mars przeciął mu czoło. Wreszcie z wielką powagą przemówił:

— Bóg świadkiem, iż szczery afekt żywiłem względem waćpanny, że cudne snułem rojenia o wspólnej przyszłości. Prawdę jednak powiedziała panienka, świętą prawdę, iż takowego warunku nie mógłbym spełnić. Szanowaliśmy zawdy dawniejszego hetmana, łaskawie nam dziś panującego króla jegomości; nie tajnem wszelako, że król Jan III. cieszyłby się jeszcze większą miłością swoich poddanych, gdyby nie ów złowrogi pantofelek Marji Kazimiery... Bowiem nic dobrego nie może wyniknąć dla narodu z podobnego stanu rzeczy... My wespół żyjący, miłujemy a czcimy Sobieskiego, pogromcę Turków, podziwiamy jego wyjątkową pobożność... a owe cnoty przesłaniają oczom naszym królewskie wady. Lecz kiedyś, po latach, historycy trzeźwą myślą rzecz roztrząsając, osądzą surowo, bez pardonu króla jegomości za zbytnią uległość względem Marysieńki... Bowiem niewiasty zwykły rządzić się często chimerami lub grymasami, bez głębszego sensu i treści, same nie wiedząc, o co im właściwie chodzi. Znają jednak białogłowski ów zwyczaj Sierpińscy...

Urwał na chwilę, poczem z ciężkiem westchnieniem, dokończył:

— Ojcowie moi zawdy miłowali, a szczerze poważali swoje małżonki, uważając je za najlepszych, Bożą wolą wyznaczonych przyjaciół. Ponieważ jednak żaden z Sierpińskich nie dawał dotychczas nad sobą prymu niewieściej głowie, przeto i ja, aczkolwiek z sercem pełnem żałości, muszę waćpannę pożegnać.

Złożył chorążance czołobitny ukłon, poczem wyprostował się i odszedł.

Basia stała dłuższą chwilę bez czucia, bez ruchu, jak gdyby wrosła nagle w ziemię, patrząc za nim osłupiałym wzrokiem. Nie spodziewała się bynajmniej takiego obrotu sprawy: czyż mogła przypuścić, że Sierpiński zrazi się serjo i to tak zaraz, na poczekaniu?

Wszak pragnęła jeno podrożyć się troszkę swoją osóbką, wypróbować stopień jego miłości... Tymczasem — przeciągnięta przez nią niebacznie struna pękła i Bogu tylko wiadomo, żali się znów kiedyś naciągnie...

Wisława.

SOBÓTKA.

OBRAZEK SCENICZNY W 2 ODSŁONACH.

(Dokończenie).

ODSŁONA DRUGA.

(Scena przedstawia polankę w lesie. Noc księżycowa. Między drzewami przesuwa się Wandzia od czasu do czasu staje, przypatruje się z za drzewa temu, co dzieje się na scenie, znów znika, po chwili wraca i tak przez cały czas, aż do sceny 3-ciej. Z chwilą podniesienia zasłony gromadka dziewcząt, przebranych za krasnoludki, w różnobarwnych opończach i kapturkach, z siwemi brodami, tańczy około ogniska, trzymając się za ręce i deklamuje chórem: (Konopnicka: Historja o krasnoludkach i o sierotce Marysi).

Scena 1.

Cyt... cyt... cyt!...
Nim zorzą spłonie świt,
Nim wschód zapali jutrzni znak
Na senną ziemię sypmy mak.
Na senne trawy — rosy łzy,
Na niskie chaty — ciche sny,
Sny ciche sypmy z srebrnych sit
Cyt... cyt... cyt!...

Cyt... cyt... cyt!...
Wskróś złotych kłosów żyt,
Wskróś wonnych ziół wskróś wonnych [traw
Nasz taniec płynie kołem żwaw,
Nasz taniec płynie w cichą noc
Co czarów ma i dziwów moc.
Wskróś puchów płynie, srebrnych kit
Cyt... cyt... cyt!...

Cyt... cyt... cyt!...
Czy słyszysz chróstu zgrzyt?
Czy słyszysz złotych iskier trosk?
Czy widzisz złoty żaru blask?
Czy widzisz jak wskróś traw i ros
Sobótki naszej płonie stos?
Jak ogień bucha aż pod szczyt?
Cyt... cyt... cyt!...

Scena 2.

Krasnoludki, Wróżka.

Wróżka (ubrana w fantastyczny strój, w koronie na głowie, w ręku różdżka spowita kwiatami): Witajcie bracia!

Krasnoludki: Witaj, pani nasza!

Wróżka: Cóż mi nowego powiecie? (Siada na podwyższeniu z gałązek).

Krasnoludek I: Dziś rano chłopczyk jakiś zabłąkał się w naszym lesie! płakał biedaczek z głodu i lęku, więc nieznacznie naprowadziłem go na polankę pełną poziomek, a gdy się pokrzepił pokazałem mu się z dala. Pobiegł za mną i tym sposobem zaprowadziłem go do domu.

Wróżka: To ładnie, to ci się chwali. Znowu jeden dobry uczynek przybędzie w twej złotej księdze. Cóż dalej?

Krasnoludek II.: Siwa babuleńka chróst rankiem zbierała, podsuwałem jej suche gałązki, tak się staruszka cieszyła!

Wróżka: Czyn twój rówież zasługuje na pochwałę.

Krasnoludek III.: Pomogłem małej pastuszce wypędzić bydło ze szkody.

Krasnoludek IV.: Znalazłem maleńkiego ptaszka, który wypadł z gniazda — przywołałem zmartwioną matkę i pomogłem jej ułożyć maleństwo z powrotem w gniazdeczku.

Wróżka: To się nazywa pożytecznie dzień spędzić — dopomagać ubogim, chorym i opuszczonym to najpiękniejsze zadanie, a nagrodą najmilszą jest poczucie spełnienia obowiązku. Ale nic mi nie mówicie, co porabiają sąsiadki wasze, panienki z pensjonatu?

Krasnoludek I.: Różnie tam u nich bywa. Teraz koniec roku więc wre praca gorączkowa — grzeczne uczą się pilnie.

Krasnoludek II.: Zapominasz mój bracie, o tej parszywej owieczce w owczarni.

Wróżka: Któż to taki?

Krasnoludek III.: Jest wśród nich jedna samolubna, dumna i leniwa, nazywa się Wandzia.

Wandzia: (podchodzi bliżej, słucha przerażona).

Krasnoludek IV.: Trzeba ją ukarać.

Wróżka: Lecz czy pewni jesteście, że oskarżenie wasze jest słuszne?

Krasnoludki: Tak, tak.

Wróżka: Więc ją przyprowadźcie!

Krasnoludek I. (podbiegając do Wandzi): Otóż i ona.

Krasnoludki: (otaczają Wandzię i opierającą się ciągną za ręce).

Scena 3.

Krasnoludki, Wróżka, Wandzia.

Wróżka (wstając : Ty jesteś Wandzia z pobliskiego pensjonatu?

Wandzia (przestraszona): Tak, ja.

Wróżka (surowym głosem): Niech wystąpią ci, którzy mają przeciw niej zarzuty.

Krasnoludek II.: Dziewczyna ta jest dumna, gardzi biedniejszemi koleżankami.

Krasnoludek III.: Nie szanuje starszych.

Krasnoludek IV.: Leniwa i wygodnisia posługuje się pracą drugich.

Krasnoludek I.: Dla sierot z ochronki nawet jednego fartucha nie uszyła.

Wróżka: O, to bardzo ciężkie przewinienia. (Do Wandzi): Co masz na swoją obronę?

Wandzia (wybucha płaczem).

Wróżka: Łzy nie zmyją twej winy. Przestępstwa twoje wymagają surowej kary.

Wandzia (błagalnie, składając dłonie): Daruj mi, pani, przyrzekam poprawę, a słowa raz danego nie łamię nigdy, bo wiem od tatusia, że to czyn hańbiący.

Krasnoludek I.: A tamto to nie hańbiące czyny?

Wandzia Teraz dopiero otwarły mi się oczy — o Boże, jak mi wstyd, jak wstyd! (Zasłania twarz).

Wróżka: Cicho, ktoś się ku nam zbliża.

Scena 4.

Krasnoludki, Wróżka, Babuleńka.

Babuleńka (stara, zgarbiona, odziana szarą płachta, podpiera się kosturem): Przebacz mi pani, że nie wołana zabieram głos. Zbliżając się powoli w tę sronę dowiedziałam się od sługi twego, Krasnoludka, że sąd się tu odbywa. Wiem wszystko i ośmielam się prośbę zanieść do ciebie: daruj jej, pani. Młodziutkie to i płoche, bez matki chowane, jedynaczka u ojca bogatego, który kochając pieści ją i psuje, nic dziwnego, że zamiast zalet wady w niej rozwinął. Ale moje stare oczy dużo już widziały i daleko patrzeć umieją — wierzę, że winowajczyni poprawi się i od dziś za rok tylko z imienia i sławy przypominać będzie dawną Wandzię. (Do Wandzi): Prawda?

Wandzia (tuląc się do Babuleńki): Dzięki ci, dzięki, Babuleńko! Dzień dzisiejszy wiele mnie nauczył, poznałam swe wady, wstydzę się, że byłam taka zła i leniwa. (Do wszystkich): Przebaczcie mi, z całego serca obiecuję poprawę.

Wróżka: Zatem dobrze, na prośbę Babuleńki daję ci czas do poprawy; gdy próba pomyślnie dla ciebie wypadnie imię twe wpisane zostanie do złotej księgi, bo przezwyciężyć takie wady to praca nielada. A teraz odchodzę już, bywajcie zdrowi.

Krasnoludek I.: Więc jej nie ukarzesz?

Wróżka: Słyszałeś, com rzekła. Ty Babuleńko, węź ją tymczasem pod swoją opiekę.

Babuleńka (zarzuca na Wandzię swoją płachtę a sama zostaje w zwyczajnym swym stroju jako Janowa).

(Na scenie przez chwilę ciemno, Krasnoludki śpiewają „O pójdź, zapada nocy czar“ lub „Hej wraca noc czarowna“, Hela, Zosia, Jadzia, Marylka odrzucają przyklejone brody, poczem scenę należy znów odsłonić).

Wandzia (wychylając głowę): Gdzie ja jestem? co to znaczy?

Janowa: A no wybrała się panienka do lasu i spotkała koleżanki.

Wandzia: Co Janowa tu robi? jakie koleżanki?

Wróżka-Janka: Nie poznajesz nas, Wandziu? Przypatrz nam się bliżej (wskazuje). Oto twoi srodzy oskarżyciele — Krasnoludki: Zosia, Hela, Marylka i Jadzia. (Dziewczynki zrzucają opończe).

Hela: A Wróżka to przecież Janka.

Wandzia (patrzy zdumiona): I ja was nie poznałam! Ale nie oszczędziłyście mi wstydu.

Zosia: Przebacz nam, Wandziu.

Jadzia: Lekarstwo było może zbyt silne, ale napewno będzie skuteczne.

Marylka: Daruj nam ten żart i nie gniewaj się.

Wandzia: Ja miałabym się gniewać na was? Wiem, że uczyniłyście to tylko dla mego dobra i nauka, dana mi przez was, nie pójdzie na marne. Byłam dla was zła, niepoczciwa, a wy mimo to dobrem za złe mi płacicie. (Rzuca się na szyję Janowej): Janowa dobra, kochana, wyście ujęli się za mną, chociaż i wam tak często dokuczałam.

Janowa: „Kto na ciebie kamieniem ty na niego chlebem“ — czy to nie dobry sposób? (żartobliwie do Jadzi) A co? nie mówiłam, że „Przyjdzie koza do woza“.

Zosia, Hela, Marylka, Jadzia, Janka (otaczają Wandzię całują ją i ściskają).

Wandzia: Dziękuję wam, dziękuję. Jak się tatuś ucieszy, gdy pogodna i wesoła zabiorę się do pracy i przywiozę mu w upominku

Janowa: (tuląc Wandzię, przerywa) lepsze, niż dotąd serduszko.

Janka: Ale teraz czas już ostatni wracać do domu. Ja, Wróżka Skoronóżka rozkazuję podwładnym moim otoczyć kołem nawróconą owieczkę i z radosnym śpiewem skierować się w stronę domu.

Wszystkie: biorą się za ręce i śpiewając „Czas do domu, czas“, odchodzą. Zasłona spada powoli.

Koniec.

Janina Korczak

ZE ŚWIATA.

Zerwanie Anglji z Rosją odbiło się w polityce światowej echem nie bardzo dla sowietów korzystnem.

W ostatnich dniach nowe zastosowanie terroru przez bolszewików, wywołało głosy oburzenia i więcej niż oburzenia chyba wszędzie! Mianowicie zostało straconych dwadzieścia osób, zwolenników dawnej monarchji w sposób bezprawny i okrutny bez sądu i właściwie bez winy.

Fakt ten ma być niejako odpowiedzią ze strony sowietów na zamordowanie posła sowieckiego Wojkowa przez Rosjanina - monarchistę — Borysa Kowerdę.

Stało się to w Warszawie, na dworcu kolei, gdzie poseł Wojkow chciał zobaczyć się z Rosenholzem, byłym attaché sowieckim w Londynie. Kowerda został przez rząd polski zaaresztowany, śledztwo w toku — zostało uwięzionych mnóstwo monarchistów rosyjskich, przebywających w Polsce, celem stwierdzenia, czy czyn Borysa Kowerdy nie jest wynikiem akcji ogarniającej szersze koło. — Jednakże zdaje się to być wykluczonem.

Przedstawiciele rządu polskiego wysłali bezzwłocznie kondolencje. Pogrzeb posła, a raczej transport zwłok na dworzec kolejowy odbył się w Warszawie, bardzo uroczyście.

Rząd rosyjski wysłał do rządu polskiego notę, wiąże fakt zabójstwa z ogólną niechęcią, jaka budzi się obecnie przeciw sowietom oraz żądają od Polski ostrych zarządzeń i ucisku, zwróconych przeciw monarchistom rosyjskim w Polsce przebywających.

Sowiety powołują się przytem wciąż na „prawo“ oraz podkreślają, że podobne postępowanie, jakie obenie świat wobec nich stosuje, jest „bezprawiem“. Nota polska jest zredagowana w sposób stanowczy i energiczny. Stwierdza, że poseł Wojkow zaofiarowaną mu przez rząd polski ochronę jego bezpie-

czeństwa osobistego, odrzucił. — Rząd polski nie był nawet poinformowany o przejeździe Rosenholza.

G.

RÓŻNE WIADOMOŚCI

W Anglji w ostatnich latach daje się zauważyć coraz to żywszy ruch w życiu katolickiem. Świeżo wydany „Catholic Directory“ podaje nam ciekawe cyfry z dziedziny katolickiej. Otóż w roku ubiegłym Anglja liczyła 2,055.860 katolików; 2.665 kapłanów świeckich i 1.460 zakonników; zbudowano 18 nowych kościołów i cztery kaplice. Liczba nawróconych w roku 1926 w jednej diecezji Westminsterskiej wynosiła 1.727 osób, a w całej Anglji, t. j. w 17 diecezjach wynosi 12.048 osób.

Obecnie we Francji jest 1.047 szkół państwowych, do których uczęszcza nie więcej nad pięcioro dzieci, a 2.522 szkoły liczące od 4 do 10-ro dziatwy. Utrzymanie nauczycieli dla tych szkół kosztuje rząd francuski 25 miljonów franków rocznie. Natomiast prywatne szkoły katolickie, utrzymywane przez ludność katolicką kształcą 950.000 dzieci.

W ten sposób katolicka ludność Francji koryguje błędy i niesprawiedliwe prawa rządowe w dziedzinie nauczania szkolnego.

Podróż naokoło świata w ciągu 8-miu minut. — „United Press“ zorganizowało niedawno kongres dziennikarzy w Columbji (stan Missouri) z udziałem 600 delegatów. Podczas bankietu dokonano bardzo ciekawego doświadczenia, mającego na celu przekonać obecnych o niesłychanej szybkości, z jaką obecnie depesza może odbyć podróż naokoło świata. Wysłany został kablogram z Columbji do New Yorku, skąd nadano go bezzwłocznie via Londyn, Moskwa, Szanghaj do San-Francaisco i tejże samej Columbji. Depesza obleciała kulę ziemską w ciągu 8 minut!

Żegludze polskiej przybywają na Bałtyku dwa nowe okręty pasażerskie „Gdańsk“ i „Gdynia“ — oba zamówione w stoczni gdańskiej. Do użytku publiczności oddane od czerwca.

10 letni chłopiec-bohater. — Donoszą tu z Chełmży o wypadku niezwykłego bohaterstwa 10-letniego dziecka. W czasie zabawy grupki dzieci nad brzegiem jeziora w okolicy Chełmży, bawiący się półtoraroczny chłopiec wpadł do wody. Na rozpaczliwy krzyk czteroletniej siostrzyczki tonącego, nadbiegł 10-letni Gutowski, który bez namysłu skoczył do wody, i wydobył tonącego chłopca.

Kto dłużej wytrzyma bez pożywienia? Ciekawe dane w tym względzie podaje czasopismo „Science and Inwention“, okres głodówki, po której następuje śmierć, trwa tem krócej, im wyższym jest dany gatunek — tak np. dla człowieka wynosi on 12 dni, dla psa 20, dla żaby 360, dla żółwia 500, dla węża 800 dni — ryba wytrzymuje bez pożywienia 1.000, owad 1.200 dni i dłużej.

WŚRÓD KSIĄŻEK.

O. Cuthbert: „Żywot św. Franciszka z Asyżu“. Przekład autoryzowany Anny Szottowej. (Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań-Warszawa-Wilno-Lublin. Cena zł. 10.). — Dzieło to oznacza się ścisłością w podawaniu faktów i znajomością historji nowoczesnej, a zaleca się przejrzystością, dzięki której św. Franciszka oglądamy jak żywego i zdajemy sobie sprawę z doniosłości każdego okresu jego życia. Wielka, czysta, seraficzna i w pewnym sensie zbawcza postać Biedaczyny, wzgardzona, niezrozumiana lub niepogodzona z wymaganiami praktycznego życia olbrzymieje jako postać tytana cnót ewangelicznych, który dał najbardziej uderzający przykład naśladowania Zbawiciela.

Emil Zegadłowicz: „Godzina przed jutrznią. Żywot Mikołaja Srebrempisanego". (Nakład księg. św. Wojciecha). Dzieje pierwszych sześciu lat życia, spędzonych przez małego Mikołaja w cichym domu ojcowskim, ukrytym — jak gniazdo z miłości i poezji — w puszystej gęstwinie drzew i kwiatów. Mistrzami dziecka są nietylko kochający ludzie, ale wszystkie przyjazne i usłużne sprzęty domowe, i barwna, pachnąca głąb ogrodu, i życie podwórza o swoistych obrzędach przy doglądaniu gospodarskiego dobytku, — dni przeżyte w zapachu jabłek, w kręgu lampy naftowej, pod strażą lipy". Wszystko kocha małego Mikołaja i wtajemnicza go w swoje życie, ucząc go nawzajem miłości do całego otaczającego go świata.

Ale na tę słoneczną poezję lat dziecięcych, pada tragiczny cień prologu, cień, mówiący, że niebawem to dziecię miłości i poezji pozna, co to opuszczenie, tęsknota za rozwianem gniazdem.

J. B.

J. H. Fabre: „Nasi sprzymierzeńcy", (Lwów, 1925, Książnica-Atlas). — Książka „wiejska" nietylko dlatego, że zbliża nas do życia pól naszych i lasów. Zamknął w niej Autor coś z swojej duszy skromnego nauczyciela wiejskiego, zdobywającego wśród twardej walki z nędzą, lekceważeniem i niezrozumieniem, ogromną litość dla wszystkiego, co małe, niepozorne, sponiewierane, dla „ohydnych" ropuch i obrzydliwych nietoperzy, dla prześladowanych węży, sów, tysiąca drobnych ptasząt, którym bezmyślne przesądy ludzkie wypowiadają nieubłaganą walkę. I jeszcze jest coś, co urokiem niezwykłym owiewa dzieła Fabre'a. To jego spokojna, o sumienną, samodzielną pracę, oparta niezależność sądów. Umiłowawszy świat zwierząt, chce on obronić nietylko przed ślepem okrucieństwem nieuków. Bolą go także powierzchowne sądy i komunały podręczników przyrodniczych. „Czyż nie mówimy o orle, że jest królem ptaków? Skąd ten tytuł dla okrutnego zbójcy, dusiciela owieczek? Napróżno zadawałbym sobie to pytanie, gdybym nie znał skłonności człowieka do sławienia brutalnej siły, wtedy nawet, gdy sam pada jej ofiarą... wysoko postawione łupiestwo znajduje w nas niestety dość upodlenia, które je usprawiedliwia, co mówię, sławi je, gdy pożyteczny, korzystny dla wszystkich trud nie wzrusza nas, a nawet budzi wzgardę". (Str. 97-8).

Całe życie Fabre'a brzmi tym słowom bolesnym współdźwiękiem, któż bardziej pożytecznym, a zapomnianym, zlekceważonym był pracownikiem? Bolesnym, ale pogodnym.

Z niespożytego snać kruszcu ulane było jego serce, kiedy pod twardym młotem losu w żadną rysę nie pękło i to co u słabszego charakteru bluznęłoby goryczą i nienawiścią do świata, wydało dźwięk najszlachetniejszy, tem czystszego, silniejszego, umiłownia prawdy, sprawiedliwości i dobroci współczującej.

Dlatego dzieła Fabre'a nie można czytać tak, jak się czyta inne przyrodnicze książki dla wielu ciekawych szczegółów, tak wielu, aż dziwi, że można było tyle nowych rzeczy powiedzieć o pospolitych niby dobrze znanych zwierzętach; ale trzeba je czytać, szukając pokarmu nietylko dla umysłu, ale i dla serca.

Trzeba wchłaniać ich jasny, zdrowy, mocny ton, tak jak się poimy ciszą wiejskich wieczorów w wakacyjne miesiące i czerpać z nich zdrowie ducha, jak się czerpie zdrowie ciała z wiejskiego, czystego powietrza pól i lasów.

Jan Galicz: „Generał Józef Bem, jego życie i czyny". — Cieszyn, nakład Macierzy Szkolnej ks. Cieszyńskiego 1927. Autor kreśli żywot gen. Bema, kładąc szczególny nacisk na kampanję węgierską 1848/9 roku. Skrzętne wykorzystanie źródeł świadczy o gruntownych studjach przygotowawczych. Rzecz przedstawiona barwnie. Szczególnie dokładne są opisy topograficzne. 19 ilustracyj wykonanych na papierze kredowym, mapka orjentacyjna wschodnich

Węgier i Siedmiogrodu, oraz umieszczony na końcu skorowidz imion własnych i rzeczy, podnoszą wartość i użyteczność książki. Szkoda tylko, że autor zbyt pobłażliwie traktuje sprawę zmiany religji generała.

Józef Andor: „Nauczycielka", powieść — tłum. z madziarskiego F. M. Bibljoteka „Dzwonu Niedzielnego", Kraków, 1926. Ze względu na szerzące się wśród ludu wpływy masonerji, książka ta, odpowiednia dla bibljotek Stowarzyszeń Młodz. pozaszkolnej i dla bibljotek ludowych, oddać może usługę w obronie ducha katolickiego. — Cena 1 zł.

OD REDAKCJI.

Wakacje! — słodkie i urocze to słowo! już nie dni, ale godziny liczymy do chwili swobody, wyjazdu na wieś, w góry, lub nad morze, do chwili odetchnięcia świeżem powietrzem, użycia słońca i ruchu

Cieszymy się — ale czy radości naszej nie ćmi myśl, że stosunkowo do ilości uczącej się młodzieży, mała tylko garstka będzie mogła wyjechać, odpocząć wśród pól i lasów.

Wiele dziewczynek, koleżanek, znajomych i młodszej dziatwy zostanie w miastach dusznych, rozpalonych letniem słońcem, pełnych kurzu, wśród warunków domowych, często bardzo niehigjenicznych. Niejednej gorzej nawet teraz będzie niż w ciągu roku szkolnego..

Kolonje letnie nie zdołały pomieścić wszystkich zgłaszających się...

Czy nie można temu choć w części zaradzić?

Zdaje mi się, że można. Z wielu stron już się o tem mówiło. Warto jednak znów przypomnieć.

Czyżby te z Was, których rodzice posiadają własny zakątek ziemi, lub nawet i te, które na letnisko wyjeżdżają nie mogły zaprosić na kilka tygodni jakiej koleżanki, znajomej rówieśniczki lub kogo z biednej drobniejszej dziatwy?

W pierwszym wypadku byłaby to raczej przyjemność, ktorejby Wam rodzice z pewnością nie odmówili, gdybyście serdecznie poprosiły, zwłaszcza rezygnując za to z innej przyjemności, czy rozrywki, może nawet kosztowniejszej. W drugim byłaby to okazja pracy „dla drugich", bo takiem młodszem dzieckiem trzebaby się trochę zająć, nie obarczając tym kłopotem rodziców i domowników... Ale od czegoż hasło: „Siać radość"! No, pomyślcie o tem i doniescie mi jak tam było na wakacjach.

Czy pamiętacie o przygotowaniach na Zjazd Misyjny w Poznaniu? (Patrz Nr. 11. Dz. i J.). W czasie wakacyj dużo możecie zrobić.

Sokolę — cieszy mnie swą wytrwałością. W ten sposob dojdziesz do zadowolenia i drugich i siebie, a to wewnętrzne zadowolenie z postępu w dobrem stanie za wszelkie nagrody.

Zocho T. — nie wolno tak rozgoryczać się, bo niema o co. Dał Ci Bóg wiele darów, których nie otrzymali inni. Umiej być wdzięczną.

Hanko Św. — trzeba zawsze być „szczerą", żyć w prawdzie, nie chcieć uchodzić za inną niż się jest, ale to nie znaczy, że trzeba zawsze być „otwartą", wszystkim ze wszystkiego się zwierzać; przeciwnie trzeba bardzo uważać na to komu się serce otwiera. Przeczytaj w „Gawędach" list 357.

„Nie chodzi o to czy mnie jest dobrze z ludźmi, lecz czy ludziom dobrze ze mną".

Kierowanie się taką zasadą usuwa wiele trudności.

Za wszystkie miłe liściki serdecznie dziękuję. Dla braku miejsca nie odpowiadam każdej z osobna, bo odpowiedzi są rozsiane w całym numerze „Dziś i Jutro". Kto znajdzie tę, której potrzebuje, niech mi doniesie.

Ofiarodawcom na rzecz misyj, a zwłaszcza znów **Loczkowi** i **Jutrzence Swobody** ślę serdeczue: „Bóg zapłać"!

* * *

Numer następny „Dziś i Jutro" wyjdzie dopiero w sierpniu — tymczasem oczekuję Waszych listów i życzę wesołych i dobrych wakacyj.

Redaktorka.

KONKURS

NA WIDOKI ŁADNYCH OKOLIC POLSKI

oraz naszych pamiętnych miejscowości historycznych dla braku czasu nie dopisał, proszą z różnych stron, by termin prze-

dłużyć — wiec dobrze! nadsyłania widoczków oczekuję do

DNIA 20-GO SIERPNIA 1927 ROKU.

Możecie nadsyłać kartki pocztowe, lub własnej roboty zdj cia fotograficzne. Każdy widoczek winien być opatrzony podpisem objaśniającym.

Przysyłające największą ilość widoków z najlepszemi t. j. dokładnemi, ale krótkiemi opisami otrzymają nagrody. Nagród będzie kilka.

W razie otrzymania większej ilości zdjęć fotograficznych, utworzymy z nich osobny dział, z osobną serją nagród. Można będzie otrzymać nagrodę w obu działach.

NASZE SZKOŁY.

Gimnazjum i Szkoła Zawodowa SS. Urszulanek w Kołomyi.

Na dalekiem Pokuciu, na odległym skrawku Wschodnich kresów, gdzie przeważnie obce żywioły bytują, świeci skromnie aureolą świętości gwiazda, a świeci Temu, który jej tego światła użyczył...

W niewielkiem — podgórskiem mieście, przy jednej z ulic leżących już prawie za miastem, stoją mury „klasztoru“, w którym jedenaście lat życia spędziłam, zapisując w pamięci całą gamę wspomnień dobrych i ładnych — dla swej subtelnej i cichej radości, tej radości, której mi nigdy życie pozaklasztorne nie dało.

Nazewnątrz cichy i poważny, kryje w sobie dużo życia i wesołości — swobodnej i harmonijnie brzmiącej z zaranną melodją życia.



Gimnazjum SS. Urszulanek w Kołomyi (strona północna).



Gimnazjum SS. Urszulanek w Kołomyi (strona zachodnia).

Niewielka liczba dziewczynek — wychowanek, uczennic gimnazjum i szkoły zawodowej, znajduje tu nietylko źródło wiedzy i siły duchowej, ale i wszelkie czysto fizyczne wygody, pozwalające na swobodę pracy, ruchu i rozrywek. Obszerne, jasne klasy — pełne słońca i powietrza; wszystkie ubikacje pensjonatu, który zajmuje całe drugie piętro wielkiego gmachu, wreszcie prześliczny park, składają się na miłą atmosferę, która ogólnie u nas panuje.

W porze letniej — mamy przez cały dzień dużo słońca i zieleni, która z okien nawet w odległej dali cieszy młode oczy swą szmaragdową barwą i odbija od fioletowych pasów Karpat — na szczycie których jaśnieją wieczne śniegi.



Ołtarz w kaplicy szkolnej.

Klasztorny park dzwoni wesołym śmiechem, śpiewami, — radosnemu świegotowi ptasząt wtórują beztroskie, dziecinne okrzyki bawiącej się gromadki malców i cichną poźnym wieczorem, tylko zgodny chór młodych, czystych głosów zlewa się w jeden hymn i płynie przez eter wszechświatu hen — do stóp Niepokalanej... Skupione gromadki pensjonarek stoją pod statuą „naszej Matki Boskiej“ i śpiewają Jej wieczorną pieśń.

A kiedy biały dziaduś popruszy ziemię lśniącą bielą, kiedy ucichnie gwar ptasząt i usną kwietne kielichy — roztacza się inny, nowy czar Cały ogród — jak okiem sięgnąć, cały obszar 5-cio morgowy okrywa się białym, puszystym kobiercem, osiadają lśniące perły szronu na gałęziach sosen, i lip

W pogodne dnie mamy rekreacje w ogrodzie. Suną szeregi saneczek, rozbrzmiewają ochocze „na bok!“ i my — „stare“ musimy ustępować, bo inaczej skąpałybyśmy się w śniegu, ku wielkiej radosci małych pogromców.

Najmilsze są w zimie wieczory niedzielne. Zaraz po kolacji wpadają roześmiane pary na salę rekreacyjną, gdzie płyną dziarskie tony mazura. Uszeregowane czwórki zataczają koła, wybijają hołubce, a te największe zbijaki wycinają „koguciki“ aż drżą zmarznięte duże szyby Oberki, krakowiaki, wreszcie spokojne walce odchodzą jeden po drugim, aż w końcu rozognione, zmęczone, a jednak nie bez żalu opuszczamy salę i czekamy niecierpliwie niedzieli następnej.

Ile razy przyjdzie mi na myśl, że już tylko rok będzie mi danem tu pozostać — to taki dziwny nieogarniony żal, taka cicha tęsknota za czemś. co wiemy, że już nigdy nie wróci — oplata duszę Jedenaście lat — beztroskich, jasnych i poczciwie spędzonych na pracy, minęło bezpowrotnie, zbłękitniało na dalekich horyzontach przeszłości, pozostawiając w duszy taką cichą, słodką — niczem niezmąconą melodję — którą śpiewa niewidzialny chór wszechświatu z nadejściem koronkowego świtu wiosny...

Tak szybko, tak bezpowrotnie minęło!...

I teraz stojąc już prawie u kresu swojego dotychczasowego życia, widzę i zdaję sobie sprawę z tego, jak wiele łask bożych kryje się w zakątkach tego naszego klasztoru, jak cicho i dobrze mi tu było.

Tu poznałam pierwsze zasady wiary, tu przystąpiłam do pierwszej spowiedzi i Komunji św.,



Lekcja szkoły zawodowej.



W alei lipowej.

tu też uczyłam się żyć dla Boga, a w Bogu kochać i być dobrą dla ludzi. Tu hartowałam ducha i przysposobiałam go do życia, które mię czeka już w niedalekiem jutrze, dlatego też kocham tę szkołę i z żalem opuszczać będę nasz kochany, kołomyjski klasztorek.

Darka Jaworska ucz VII. kl. gim.

(Uwaga. Zakład nasz, istniejący w Kołomyi od 1899 roku, obejmuje obecnie gimnazjum humanistyczne według programu państwowego oraz średnią szkołę zawodową, do której przyjmuje się dziewczynki, które ukończyły III. kl. gimn. lub 7 powszech. Absolwentki 3-letniego kursu tej szkoły mogą prowadzić przedsiębiorstwa na własne imię, albo poświęcić się pracy pedagogicznej, wstępując do państwowego seminarjum na nauczycielki rzemiosł).

WIOSNA, A MŁODOŚĆ.

Cudna jest wiosna pełna kras,
Gdy w jasną zieleń stroi maj,
Ślicznie wygląda świeży las
I słodko szumi brzózek gaj;

Cicho strumyczek szemrze gdzieś,
I ptasząt leśnych szumi chór
Cudnie wygląda polska wieś,
Na tle zachodu lata chmur!

A czy i młodość nasza ta,
Wie jakie wiosną życie lat,
Młodość, co nie zna łez i zła,
Rozkwitła pośród ojców chat?

Młodość, co nigdy nie zna pęt
W orlej potędze lotów tych,
Młodość, co w szczęściu idzie pęd,
Z piosenką wiary o snach swych?

Snach niezniszczonych pełnych mar
Choć nieraz złudnych, błachych już,
Lecz to jest właśnie młodych czar,
Że wierzą w jutro świetlnych zórz!

I tak jak bożej wiosny cud
Ludzie jak Boga, świętym zwą.
Choć nieraz dużo miewa złud,
Młodość najświętsza mocą swą!

Sokolę z Poznania.

GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także **numer** *listu, na który się odpowiada).*

347. Biruta do Halszki 302. Konopnicka — to moja ulubiona poetka. Cenię ją przedewszystkiem za wielkie serce, którem ukochała ludzi. Każdy jej, choćby najmniejszy, wiersz uderza nas przeogromną potęgą miłości, współczucia, litości nad złą dolą, którą zawsze stara się w złotą zamienić. Ale pierwszeństwo oddaję (z grona późniejszych poetów) Wyspiańskiemu. Porywa mnie głębią myśli, którą trzeba odczuć, bo często nie daje się wyrozumieć i czarem swego mistycyzmu. Zachwycam się również jego witrażami. Z powieściopisarzy hołduję Żeromskiemu, mając zawsze na myśli jego straszne zmagania się duchowe, rozterki, których może nikt tak silnie nie przeżywał. Wybrał drogę ciemną, najbardziej ludzką, ale szedł nią do światła; zawsze gdzieś bardzo daleko

przyświecała mu gwiazda, którą widzę, mimo, iż sam na nią rzucił mrok postępowania Kocham go za tę tęsknotę do dobra, za wiarę, że ono musi zło przezwyciężyć.

Zdaje się, że mnie lepiej znasz, niż sama o tem wiesz i sądzisz, ale boję się więcej pisac. Jeśli możesz, powiedz, do której klasy chodzisz? Ja mam rok do ukończenia Może naprawdę kiedyś poznamy się osobiście, tymczasem musimy się ograniczyć do tych miłych rozmówek.

Gdzie spędzisz wakacje?

348 Biruta do Kropeczki 305. Nie chodzi o wybranie przewodniczącej i patronki, lecz o pracę społeczną. Możeby w tym celu, aby istotnie coś zacząć robić, mogły się zebrać w oznaczonym dniu te Gawędziarki, które mieszkają w Krakowie, w Redakcji (jeśli się na to zgodzi Pani Redaktorka). (I zgodzi się i bardzo zaprasza — *przypisek Redakcji)* — i wspólnie omówiły plan działania. Inne przysłałyby listy, aby choć duchem uczestniczyć w zebraniu.

349. Biruta do Orlęcia Lechowego 313 Za podanie książki serdecznie dziękuję Widzę że jesteś zapaloną „ogrodniczką". Ja dopiero w ostatnich czasach zajęłam się więcej botaniką, w szczególności kwieciarstwem. Dawniej interesowała mnie więcej zoologja, zwłaszcza owady. Rozczytywałam się wtedy w dziełach Fabre'a. Zresztą i teraz są one dla mnie wprost niezbędne, gdyż w dalszym ciągu prowadzę hodowlę owadów w wylęgarkach Czy znasz książkę Maurycego Maeterlinka p. t. „Życie pszczół"?

350. Skrzydlate Marzenie do Gawędziarek. Czy lubicie fotografować i czy się tem zajmujecie?

351 Skrzydlate marzenie do Potoczka leśnego 341. Zdaje mi się, że szczęscie na ziemi znajdziemy wtedy, gdy będziemy postępowały tak, aby wszystkim z nami było dobrze. Gdy będziemy robiły zawsze, wszędzie i wszystkim dobrze A przedewszystkiem, gdy znajdziemy zadowolenie wewnętrzne

352. Skrzydlate Marzenie do Wielbicielki Nauki 336 Zaciekawia mnie Twoj pseudonim, czy tak bardzo kochasz naukę i pragniesz ją zdobyć? Zdaje mi się, że najprędzej nauczysz się pisać bezbłędnie, gdy często będziesz pisała dyktanda i przepisywała z książek, ale nie bezmyślnie, tylko z uwagą, zastanawiając się nad każdem słowem. Czytaj dużo książek i rozmawiaj z kimś, kto dobrze mówi po polsku, a z pewnością w niedługim czasie dojdziesz do wielkiej wprawy

353. Błędny Ognik do Zawieruchy 333. Brawo, brawo „Zawieruch o". Umiesz bronić piękności naszej Ojczyzny Mam lat 15 a 10 podróżowałam po rożnych krajach Widziałam błękitne wody Adryjatyku, Morze Czarne, wyniosłe Bałkany, a jednak zawsze tęskniłam do moich złotych łanów, do pól, do lasow tak dalekich, a jednak tak bardzo ukochanych przez moją duszę dziecka. Dziś jestem w Ojczyźnie na stałe, i nie pragnę jej opuścić nigdy, nigdy.

354 Błędny Ognik do Gawędziarek Czy która z Was była w Bułgarji lub Serbji, lub czy może pojedzie tam na wakacje Ja jadę i chciałabym dowiedzieć się, czy będzie która z Was w Dubrownik-Raguzie w Serbji, lub w Varnie w Bułgarji Może spotkam się z którą z Was na obczyźnie. Pogadałybyśmy o Polsce i o „Gawędach".

355. Hanka do Potoczka leśnego 341.

Prawdziwe szczęście dają: czyste sumienie, wypełnianie obowiązkow (choćby były nawet najcięższe), dawanie bliźnim pomocy, oraz sprawianie im radości i ulgi w cierpieniach. Ważną też jest rzeczą, aby godzić się z losem i starać się być ze wszystkiego zadowoloną.

356. Prymulka do Potoczka leśnego 340 Podług mnie szczęście na ziemi nie istnieje, ale je człowiek stworzyć może sam, i szczęściem nie nazywam samej tylko radości i wesela, to tylko chwilowa przyjemność, ale szczęście jest to cierpienie i ból z uśmiechem na ustach, dla miłości Boga zniesiony; to wyrzeczenie się czegoś dla dobra drugich, zapomnienie o sobie, to czyny wielkie, dobre a nieznane nikomu. Radość jest także szczęściem, ale nie ta zewnętrzna szalona, w wirze tańców i zabaw, w rozrywkach, ale radość wewnętrzna, słodka, co promieniuje i innym smutki słodzi. Prawdziwe szczęście nie może się w niczem innem ukrywać, tylko w duszy własnej, i od człowieka zależy wydobycie go

357 Lucynka do Rycerki Złotego Serduszka 172 Ucieczką w burzach życia jest po Bogu matka nasza Do niej radzę Ci udać się w takich smutnych ciężkich chwilach. Matka, to najlepszy nasz przyjaciel, nasza powierniczka, opiekunka i pielęgniarka młodej, słabej duszy.

Ona zawsze zrozumie, dla niej nigdy nie przestajemy być dziećmi drogiemi. Nie szukaj więc gdzieindziej przyjaciółek, jej otwórz serduszko swoje, a zobaczysz jaką dobrą lekarkę znajdziesz Ja przy boku mojej mateczki czuję się najszczęśliwszą istotą na ziemi, a w chwilach rozłąki (które niestety trwają aż osiem miesięcy) nie szukam u nikogo obcego pociechy. Wolę już dzielić swe zmartwienia z zeszytem, bo to jeszcze najwierniejszy przyjaciel nie wyśmieje płaczu, nie wyszydzi cierpień.

ŁAMIGŁÓWKI.

ARYTMOGRAF

(ułożyła H. W.).

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą rozwiązanie.

1					4				
2			3	4	21	14	4		
3		26	15	22	10	4	24	19	
4		7	4	4	24	12	9	13	
5			25	16	26	2	15		
6	5	22	3	4	25	9	23	18	10
7	14	4	5	16	26	21	15	1	17
8			17	11	12	21	26		
9		5	26	12	26	21	14	4	
10		6	26	24	6	4	21	19	
11			4	21	14	26	22		
12					4				

Znaczenie wyrazów:

1) Samogłoska. 1) Państwo w Europie. 3) Miasto w Turcji. 4). Miasto w Holandji. 5) Miasto w Polsce. 6) Miasto w Europie. 7) Miejscowość nad Obszą. 8) Miasto w Polsce. 9) Miasto we Włoszech. 10) Pasmo górskie w Karpatach. 11) Prowincja francuska. 12) Samogłoska.

ZADANIE ARYTMETYCZNE

(ułożyła Jadźka ze Stanisławowa).

W miejsce liter wstawić cyfry i wykonać dzielenie.

```
abcab4 : d5f = fce8
beg
----
hhea
hjhd
----
=hcib
 hdie
 ----
 =djd4
  dj2c
  ====
```

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA

(ułożyła Orlę Lechowe).

Z niżej podanych liter ułożyć znane przysłowie.

a, a, a, b, c, d, e, e, h, i, l, m, n, n, o, r, r, s, z, y.

ŁAMIGŁÓWKA

(ułożyła Marysia H.).

Z podanych przysłowi i myśli utworzyć dwa znane przysłowia.

1) Kto chce psa uderzyć, ten kij znajdzie. 2) Co się odwlecze, to nie uciecze. 3) Dobrych wszyscy szanują, dobrych lubi się wszędzie, dobrzy umrą tam także, dobrym dobrze będzie. 4) Gdzie dwóch się czubi, tam trzeci korzysta. 5) Choć ubogo, lecz chędogo. 6) Gość w domu Bóg w domu.) Kto umie najlepiej cierpieć, ten najlepiej potrafi działać.

NAGRODY

za rozwiązane i nadesłane łamigłówki uzyskały: Ze Stanisławowa: Jadwiga Kowalska, Zosia Topczewska, Zofja Doleżal, Marysia Holländer. — Z Doliny: Erazma Przestalska. — Ze Stryja: Jadwiga Popielówna. — Z Krotoszyna: Stefa Pawłowska. — Kto pragnie nagrodę otrzymać, niech prześle na koszta przesyłki 50 gr.

Czas odnowić prenumeratę na drugie półrocze!

TREŚĆ Nr. 12/13-go:

Przedruk artykułów wzbroniony.

WARUNKI PRZEDPŁATY:

Kwartalnie 3·— zł, półrocznie 5 zł 50 gr, rocznie 10 zł. — W Ameryce rocznie 2 dolary.
Dla prenumerujących większą ilość egzempl., do każdych 5-ciu egzempl., dołącza się 6-ty **bezpłatnie.**
Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.